

Kate Wild

FERAL

Przekład
Joanna Lipińska

Amber

dodane przez:
www.chomikuj.pl/diaalog

Czasami zdaje się, że tylko ty o tym nie wiesz. Czasami zdaje się, że samo myślenie, że to może istnieć, jest szaleństwem. Ale wtedy dostrzegasz coś kątem oka ...

Pusta ulica o północy. W brudnych kałużach odbijają się matowe żółte lampy.

Pojawia się szesnastoletnia dziewczyna w znoszonym czarnym mundurze. Nie idzie zwyczajnie, ale czai się i węszy na ciemnym, ponurym osiedlu. Powinna być wystraszona, a nie jest.

Ma krótkie, jedwabiste czarne włosy, twarz raczej dziwną niż piękną, jej uroda nie pasuje do żadnego kraju. Obserwuje chłopaka w bluzie z kapturem, kryjącego się w cieniu. Przepelnia go gniew, który najchętniej wyładowuje na innych, słabszych od siebie. Tego wieczoru upatrzył sobie dwójkę gotów i śledzi ich, łapiąc nerwowo oddech.

Ledwo przeszedł kilkanaście metrów, kiedy bezszelestnie pojawia się za nim dziewczyna i klepie go w ramię.

- Cześć! - mówi radośnie, jakby podchodzenie do obcych w środku nocy było dla młodych dziewczyn najlepszą zabawą na świecie.

Ale w jej oczach jest coś dziwnego i gdy chłopak się odwraca, milknie zaskoczony.

- Nie miej mi za złe. Ćwiczę.

Sekundę później po ulicy odbija się echem okrzyk bólu. Chłopak rozumie nagle strach, jaki czują jego bezradne ofiary. A po chwili dziewczyny już nie ma.

Mówią, że nazywa się Feral. Jest częścią najlepiej strzeżonej tajemnicy na świecie. Pochodzi z miejsca, o którym nigdy nie słyszałeś, którego nie ma na żadnej mapie ani zdjęciu satelitarnym. Jeśli spytasz, powiedzą ci, że takie miejsce nie istnieje.

Nie wierz w to. Wystarczy się dobrze przyjrzeć, by dostrzec wskazówki.

Jak choćby las rozciągający się na najdalej wysuniętym na północ wybrzeżu Szkocji, na końcu świata. Jeśli wiatr powieje z dobrej strony, można tam usłyszeć pokrzykiwania dzieci, zupełnie jakby w głębi krył się plac zabaw.

Albo wiadomości z doniesieniem, że zaginął bez śladu naukowiec z NASA. Już czwarty w tym roku.

A potem w bibliotece znajdujesz gdzieś wysoko, na zakurzonej półce, pożółkłą książkę, która mówi o ukrytym mieście - wydobytym z naszego świata i umieszczonym gdzieś obok niego, niewidzialnym, tajemnym i dostępnym tylko nielicznym wybranym. Już samo czytanie o nim wywołuje dziwną tęsknotę, ale i dreszcz strachu. Więc odkładasz książkę, a kiedy po nią wracasz, już jej nie ma.

Jednak prędzej czy później usłyszysz nazwę ukrytego miasta. W czyimś szepcie podsłuchanym na ulicy, w jakiejś plotce krążącej wśród uczniów. A kiedy ją usłyszysz, zapadnie ci w pamięć i już nigdy jej nie zapomnisz.

Nowa Atlantyda.

Crow

Otaczające teren szkoły wysokie świerki skrzypiały i trzeszczały. Zbliżała się burza.

Feral siedziała samotnie przy krypcie. Objęła kolana rękami i wpatrywała się w bransoletkę na opalonym nadgarstku. Powinna być teraz na boisku, ale nikt nie chciał jej w swojej drużynie. Stała samotnie, gdy innych, jednego po drugim, wybierano do zespołów, aż na środku została tylko ona. Wtedy ktoś głupio się zaśmiał.

Wbiła mocno paznokcie w dłonie. Nie może znów się wściec.

Oparła głowę o lodowatą ścianę krypty. Tak naprawdę to nie była krypta, tylko szkolne laboratorium, ale z tymi pośepnymi ścianami bez okien mogła równie dobrze być miejscem śmierci.

Miasto było ciche. Dziś przypadała Równonoc, jeden z nielicznych dni wolnych od nauki i treningów, kilka godzin beztroski. Czasami nawet mistrzowie się do nich uśmiechali, ale nie Generał, ona nie uśmiechała się nigdy. Tego ranka juniorzy, seniorzy i prefekci byli na boisku. Później przyjdzie pora na parady, nagrody i modlitwy w Świątyni, a na koniec na ucztę w jadalniach - zupełnie jak za dawnych czasów, kiedy panowali pierwsi Atlanci. Ale nie dla niej. Ona popadła w niełaskę.

Znów paznokcie wbiły się głęboko w skórę. Spokojnie. Nie myśl o tym.

Feral, odezwała się w jej umyśle Amber. *Coś się wydarzy*. Jęknęła. Nawet tutaj, za kryptą, nie dawali jej spokoju. *Odejdź*, bezgłośnie rozkazała przyjaciółce, ale bez skutku. Amber nie mogła się powstrzymać i musiała ludziom włączyć w myśli, to nie była jej wina.

Widzę wronę, a niebo płonie. On jest twoim przeznaczeniem.

Zamknęła oczy i próbowała zatrzęsnać umysł, ale chwilę później zgrzyt żwiru przyciągnął jej uwagę. Natychmiast zapomniała o irytujących przepowiedniach Amber. W jej stronę szła grupa prefektów, a wśród nich był Prosper.

Prosper o jasnych włosach i błękitnych oczach, główny prefekt, który pewnie zgarnie dziś większość nagród. Przywarła plecami do ściany i modliła się, żeby jej nie zauważył. Ale ona go widziała i nie potrafiła oderwać od niego wzroku. Zdawał się lśnić i to mimo zasnuwających niebo ciemnych chmur, zupełnie jakby bił od niego wewnętrzny blask. Kiedy podeszli bliżej, wstrzymała oddech, ale szybko skrótili i poszli w stronę stajni, rozmawiając i się śmiejąc. Kiedy zniknęli za rogiem, Feral z poczuciem winy pociągnęła za bransoletkę. Należała do Prospera. Dał ją Feral poprzedniej nocy, zanim popełniła ten wielki błąd. Powinna go przeprosić za pogryzienie i napaść, ale nie miała jeszcze odwagi się z nim spotkać. Podniosła bransoletkę do nosa i powąchała. Wciąż nim

pachniała. Oczywiście prefekci nie powinni prowadzić się z kadetami, ale poprzedniej nocy wcale się tym nie przejmowali.

A teraz? Poczwała, jak na samą myśl o tym, co się wydarzyło, pali ją twarz. Zupełnie jakby płonął w niej ogień i trawił ją od środka. Nadchodząca burza tylko pogarszała sytuację - czuła ją na skórze, duszną i wilgotną, wdzierającą się w płuca gorącym powietrzem. Nowa Atlantyda leżała pośrodku lasu, który nie miał prawa bytu, był anomalią, a niestabilna pogoda stanowiła cenę za jego istnienie. Feral spojrzała ponad okalającym szkołę sześciometrowym murem - burza nadchodziła szybko. Wystający ponad dachami kogut na dachu Świątyni, jeszcze przed chwilą nieruchomy, teraz zaczął się gwałtownie obracać.

Jakby w odpowiedzi w jej głowie odezwał się głos Amber:

Coś się zaraz wydarzy!

Nieopodal ktoś zaczął krzyżeć i przeklinać, ale nie miała ochoty sprawdzać, co się dzieje. Popatrzyła na jedyny dom, jaki kiedykolwiek znała.

Główne pomieszczenia szkoły - juniorów, seniorów i prefektów, sale gimnastyczne, boiska do ćwiczeń i sypialnie były surowe i zimne, ponieważ kadetom nie przysługiwały luksusy. Ale mieszkania mistrzów, Generała i Miasto były komfortowe, pełne najnowszych nowinek technicznych, antyków i perskich dywanów. Na ulicach mnóstwo było sklepików i kafejek, w których wszyscy spotykali się na pogaduszki, filozoficzne dyskusje i picie do białego rana, zupełnie jakby byli w Paryżu.

Mistrzowie twierdzili, że budynki z rzeźbionymi kamiennymi wieżami, filarami i kolumnadami, a także Świątynia z kopulastym dachem powstały na podstawie opisów z tajemnych zwojów uratowanych z pierwszej Atlantydy, zanim została zniszczona. Ale krypta, o którą opierała się Feral, była nowoczesna. To tutaj przeprowadzali eksperymenty, dzięki którym niektórzy kadeci Nowej Atlantydy stawali się jeszcze bardziej niezwykli. Nazywano to bioinżynierią. Programem "Chimera". Oczywiście czasem coś nie wychodziło, a eksperymenty dawały niespodziewane rezultaty.

Jak ja, pomyślała gorzko.

Nie wiadomo skąd owiało ją gorące powietrze, unosząc jej krótkie włosy ze, spoconego czoła i potęgujące krzyki. Dochodziły z ponurych głębin krypty, co nie było szczególnie zaskakujące. Możliwe, że jakiegoś kadeta poddawano nowym zabiegom. A może kogoś karano - Nowa Atlantyda bardzo mocno wierzyła w kary. Feral odchyliła głowę do tyłu i obserwowała płynące po niebie burzowe chmury, ciemne i sine, nadciągające w jej stronę. Miasto zdawało się wstrzymać oddech.

W twoich rękach jest śmierć! - zawołała w jej głowie Amber. *Uważaj Feral!*

- O Boże, po prostu się zamknij, dobra?! - krzyknęła i przestraszyła grupę małych dzieci idących parami.

Szły przez boisko w dresach, bosymi stopami tupiąc o asfalt. Przypomniała sobie, jak sama należała do takich maluchów, zawsze bez butów, nawet zimą. Kapali się w lodowato zimnej rzece, która płynęła przez las, aby nauczyć się ignorować ból, zmęczenie, głód, pragnienie, zimno i brak snu.

Kilkoro dzieci zatrzymało się i popatrzyło na nią z niepokojem. Tak jak ona i inni kadeci, przybyli tu zaraz po urodzeniu. Byli wybrani. Ich trening rozpoczynał się, gdy mieli trzy lata, a kończyli jako szesnastolatki. Dwanaście godzin dziennie, sześć dni w tygodniu zamieniano ich w nadludzi. Ich ciała i umysły były wytrenowane do perfekcji. Nie dopuszczano żadnych słabości. Mieli być dziećmi jutra, dziećmi nowej ery, gotowymi ratować świat.

Tylko przed czym? Czasami się nad tym zastanawiali, ale nikt nie miał odwagi zapytać. Nie dowiadywali się wszystkiego, nawet jako prefekci. Byli wybrani i tyle.

- Co to za krzyki? - zawołała.

Ich przywódca, który wyglądał na siedmiolatka, ale na przegubie miał bransoletkę kadeta z czarnym pasem sztuk walki, przyjrzał się jej.

- To obcy. Jest karany.

Nowa Atlantyda była bardzo dobrze strzeżonym sekretem, ale zawsze pojawiały się opowieści o obcych, którzy próbowali się do niej dostać i ich znaleźć. Nikt nie wiedział, co się z nimi później działo.

- Dlaczego nie jesteś na boisku? - spytał chłopak.

Wzruszyła ramionami.

- Bo jestem za dobra.

Spojrzał na nią krzywo.

- Nieprawda. Bo cię nie cierpią. Zjadasz kości. - Spojrzał na swoich towarzyszy. Kilkoro zaczęło się złośliwie śmiać, ale reszta wciąż wsłuchiwała się w krzyki człowieka.

- Kto powiedział, że jem kości? - zapytała powoli.

Chłopak spojrzał na nią triumfalnie.

- Prosper.

Serce jej zamarło. Czyżby wszystkim opowiedział? Znow wypełnił ją gniew, który próbowała w sobie zdusić. Jednym zgrabnym ruchem się podniosła.

- Mam wyżyć ci oczy?

Mina mu zrzędła.

- Poskarżę. Nie wolno ci ...

- No to patrz. - Zrobiła krok w jego stronę.

Dzieci uciekły, a ona stała bezradnie i pomyślała: No świetnie, teraz nawet maluchy się mnie boją. Chciała znaleźć jakiś ciemny kącik, zwinąć się w kłębek i zapomnieć o poprzedniej nocy. Ale właśnie wtedy rozpetęła się burza. Poczula, jak włosy jeżą jej się na głowie, jak u dmuchawca, aż lepkie od energii. Wrzaski i przekleństwa zbliżyły się do niej, a Amber znow wkradła się do jej myśli.

To się zaraz stanie!

Nad lasem poderwało się z krzykiem stado ptaków. A zza rogu wypadł chłopak.

Nemesis

Widziała wszystko wyraźniej niż większość ludzi. To jedna z zalet jej dziwnych oczu. I tak właśnie go zauważyła, od razu, na pierwszy rzut oka. Biegł do niej, potykając się i ślizgając, ale w ciszy, śmiertelnie przerażony. Miał bladą twarz, a oczy mu błyszczały, gdy rozpaczliwie szukał drogi ucieczki. Poruszał się na oślep, chaotycznie, ale z taką determinacją, jak niedający się zatrzymać terier.

Goniło go dwóch laborantów, a gdy minął róg, potknął się i upadł u jej stóp. Był tylko zwykłym obdartym chłopakiem z zewnątrz, ale kiedy na nią spojrział, przez chwilę wydał jej się nadzwyczajny. Ciemne włosy wpadały mu do oczu. Miał na sobie stary płaszcz z przodu umazany krwią. Próbował ukryć dłonie w rękawach, ale i tak zauważyła, że miał poranione knykie. Pod płaszczem miał porwaną koszulę, a skórę na piersi otartą.

Mogła go złapać, ale tego nie zrobiła. Przez moment patrzyli na siebie, a potem podniósł się, dobiegł do ogrodzenia i spróbował się na nie wdrapać.

- Feral! - krzyknął jeden z laborantów. - Na litość boską, łap go!

Nie lubiła, kiedy laboranci mówili jej, co ma robić, więc ich zignorowała. I tak nie mógł uciec, bo płot był pod prądem. Nie po to, żeby zatrzymać w środku kadetów - oni byli wybranymi, a nie więźniami - ale by ochronić ich przed upiorami lasu. Jeśli się na niego skoczyło, parzył, ale to nie powstrzymało chłopaka. Wciąż próbował.

- Aj, aj, aj - powtarzał do siebie, za każdym razem spadając z płotu. Klepnęła go w plecy.

- Hej, zrobisz sobie tylko krzywdę. I tak stąd nie wyjdiesz.

Odwrócił się do niej, ssąc palce. Wiatr odgarnął mu włosy z czoła i zobaczyła poważne, czujne spojrzenie jego ciemnoszarych oczu. Na jednym policzku miał siateczkę blizn, pewnie pamiątkę po ranach z przeszłości. Spojrzął na nią zmrużonymi oczami, jakby raziło go słońce. A potem dostrzegł jej oczy i przeszedł go dreszcz. Była na to przygotowana, bo obcy zawsze tak reagowali.

Miała zabójcze oczy. Naprawdę były niebezpieczne. Była dziełem programu "Chimera" i jedynym ludzkim dzieckiem, które przetrwało tyle prób. Wyciągnęła rękę, aby go przytrzymać, a on wpadł w popłoch.

- Odejdź! Trzymaj się ode mnie z daleka! - zaczął krzyczeć.

Próbowała tylko złapać go za rękę, żeby przestał sobie szkodzić, ale on zaczął kopać i wywijać pięściami. Nie żeby to był jakiś problem. Nie stosował żadnej techniki, nawet podstawowych ruchów taekwondo. Bez problemu blokowała jego ataki, ale serce biło jej zbyt mocno. Amber miała rację. Miało nastąpić coś okropnego. Może on też to poczuł. Zauważyła, że mimo lęku wszystkiemu się przygląda, jakby czekał na okazję do ucieczki, chociaż nie miał na nią najmniejszych szans.

Odwróciła się i tupnęła nogą w stronę laborantów.

- Idźcie. Zajmę się nim.

Odsunęli się. Byli od niej starsi, ale tylko pracowali dla Miasta. Nie należeli do kadetów, więc musieli jej posłuchać.

Nagle chłopak zmienił taktykę. Zamiast poderwać się i uciec, złapał ją za ramię i przez moment czuła gorąco jego ciała. Nie mogła uwierzyć, że obcy naprawdę jej dotknął.

- Musisz mi pomóc - błagał. Miał szorstki akcent, którego nie umiała określić, i lekką wadę wymowy; sprawiła ona, że zafascynowana popatrzyła na jego usta. - Nie wiem, co tu robię. To nie o mnie im chodzi. Jestem niewinny.

Coś dotknęło jej boku, delikatnie jak piórko. Złapała go za nadgarstek.

- Nieźle. - Ścisnęła mu rękę, a wtedy upuścił komórkę, którą przed chwilą jej ukradł. Może i nie był szkolony, ale na pewno był szybki. Mimo przerażenia nadal kombinował, jak przetrwać.

Odsunął się.

- Nie wrócę tam. - Pokręcił głową.

Znow chciał pobiec do ogrodzenia, więc dźgnęła go tuż poniżej ucha. Był to klasyczny cios wieki temu używany przez walczących katanami, ale obecnie zamiast mieczy używało się palców. Nauczyła się tego, mając siedem lat. Chłopak skulił się i upadł na ziemię. Uklękła przy nim i nie mogąc się powstrzymać, nachyliła się i zaciągnęła jego zapachem - pachniał strachem. Chwilę później zaczął dochodzić do siebie, zamrugał i skupił na niej wzrok.

- Leż spokojnie - poleciła.

Na jego skroniach i czole widziała małe czerwone kęgi, ślady po elektrodach, które zerwał z siebie podczas przesłuchania. Trochę niżej, na łopatkę, miał mały tatuaż przedstawiający ptaka z rozpostartymi skrzydłami i napis poniżej: "na zawsze 18".

Usiadł.

- Co się stało?

- Uderzyłam cię. Nic ci nie jest.

Trzęsącą się ręką starł z ust kroplę krwi. Feral nie mogła oderwać od niego wzroku. Może dlatego, że był obcym - oni byli tacy niezdyscyplinowani. Nigdy nie było wiadomo, jaki będzie ich następny ruch.

- Nie bój się - powiedziała.

W jego oczach pojawiła się nadzieja, zupełnie jakby rozświetliły się od wewnątrz. Miał szczerą twarz, która od razu zdradzała wszystkie emocje - nadzieję, rozpacz: przerażenie i dziką żądzę przetrwania.

Złapał ją za rękaw.

- Pomóż mi.

Feral strząsnęła jego dłoń.

- Nie mogę. Wpakowałeś się w nie złe tarapaty.

Ale kiedy to mówiła, poczuła w sercu coś dziwnego. Może litość, coś, na co rzadko sobie pozwalala. Zapatrzili się na siebie i przez kilka chwil zdawało się, że reszta Miasta gdzieś się rozplynęła.

- Jak się nazywasz? - zapytała Feral.

Myślała, że nie odpowie. A jednak ...

- Crow.

Widzę wronę, a niebo płonie. Crow znaczy wrona. Zupełnie jak w przepowiedni Amber. Serce Feral zabiło mocniej. Nie może znów stracić nad sobą panowania - Crow to żadne imię, tylko ptaszysko.

- A właśnie że imię; tak nazywam się po dziadku, Crowsonie Quinnie. - Podniósł się z ziemi. - Pomóż mi się stąd wydostać, a zrobię dla ciebie wszystko.

- Nie mogę. Poza tym sam jesteś sobie winny, trzeb tu było nie przychodzić.

- Co? - Wyrzucił w górę ręce. - Chyba zartujesz, Byłem w Edynburgu i oglądałem zabytki, a w następnej chwili ... - Zamilkł i wskazał kryptę. Sam jej widok sprawił, że znów zaczął się trząść. - Byłem już tam, a oni mnie torturowali!

Kłamał. Była o tym przekonana. Doskonale czytała z twarzy.

- Wcale nie oglądałeś zabytków. Nie jesteś niewinny.

- Słuchaj - rzucił desperacko - nie jestem aniołem i nigdy tak nie twierdziłem. Ale słowo daję, że w życiu nikogo nie skrzywdziłem. Zobaczyłem takiego czarnego vana z przyciemnianymi szybami, stał w bocznej uliczce. Wyglądał tajemniczo, a ja nie umiem się powstrzymać, jak napotykam tajemnice. - Na wpół się zaśmiał, na wpół jęknął. - Więc się włamałem. Tym się zajmuję. Myślałem, że znajdę w środku coś na sprzedaż. Nie miałem kasy. Byłem głodny. - Znów się wykrzywił. - Ale potem przyszły jakieś dzieciaki, ubrane na czarno, tak jak ty. Pobiły mnie, wrzuciły do vana i gdzieś pojechaliśmy.

Wyglądało na to, że tym razem mówił prawdę.

- Ćwiczymy w prawdziwym świecie. Myśleli, że jesteś Cieniem; to obcy, którzy próbują nas zniszczyć.

Rozejrzył się wokół.

- Co zniszczyć? Co to za dziwaczne miejsce?

- Nowe Miasto.

Nagle zwinął się w kłębek i zatkał dłońmi uszy, jakby go bolały.

- Ta muzyka! - krzyknął. - Czemu ona ciągle gra?

Feral zaczęła słuchać. Po kilku sekundach jej słuch dostroił się i usłyszała rozdzierające, piskliwe brzęczenie.

- To muzyka Harf. Chronią nas przed światem zewnętrznym. Nikt nas nie może znaleźć. Ciebie też nie. - Ukucnęła przy nim. - Ale Harfy to dla ciebie akurat najmniejszy problem. Zaraz będzie znaczenie gorzej.

Nagle padł na nich cień.

- Dość tego! - ktoś warknął. – Miałas go złapać, a nie z nim gadać, Feral.

Spojrzała na pomarszczoną, ponurą twarz mistrza Trajana, kierownika programu "Chimera". Był współodpowiedzialny za eksperymenty, podczas których została stworzona, i może właśnie dlatego jej nie cierpiał. Nie wyszła zgodnie z planem, więc nie omieszkiał wykorzystać każdej okazji, by ją ukarać. A to oznaczało, że powinna szybko przekazać mu chłopaka. Powinna odejść, ale nie mogła jasno myśleć. Chłopak ją niepokoił, a Amber też nie pomagała. Była teraz w jej umyśle i obserwowała, zupełnie jak bzycząca cicho za oknem pszczoła.

- To pomyłka, proszę pana. - Dalej trzymała chłopaka za płaszcz.

Trajan oparł ręce po obu bokach jej ciała tak, że przycisnął ją do ściany.

- Z tobą zawsze są jakieś pomyłki.

Feral pokręciła głową.

- To nie jest Cień. Wyczyśćcie mu pamięć i odeślijcie go na zewnątrz.

Mistrz się roześmiał.

- Teraz będziesz nam mówić, co mamy robić?

Feral owiał oddech mistrza. Pachniał anyżkiem. Trajan próbował to ukryć, ale jej nos był zbyt czuły. Znowu pił.

Podobnie jak wielu innych mistrzów popijał w kafejkach absynt, ale pił go też w ciągu dnia. Na srebrną łyżeczkę kładł kostkę cukru i polewał ją wodą z kryształowego dzbanuszka tak, że ściekała i rozcieńczała zielony alkohol. A ten sprawiał, że teraz buchała z niego żądz mordy. Może to piołun zawarty w absyncie, najbardziej gorzka ze znanych człowiekowi substancji, sprawiał, że ten, kto go pił, też robił się zgorzkniały.

Inni mistrzowie wiedzieli, że Trajan za dużo pije, ale nigdy nic nie mówili, nawet kiedy dwoje juniorów zmarło podczas eksperymentu z programem "Chimera".

- Zostaw go - powiedziała Feral. - Jesteś pijany.

Rzucił jej wściekle spojrzenie. A potem się cofnął. Jedną ręką szybko sięgnął po zegarek, a drugą wsunął do kieszeni.

- Nie mam na to czasu. Spóźnię się na lunch.

Uniósł dłoń i wyciągnął pistolet, jaki każdy z mistrzów nosił, by chronić się przed niebezpieczeństwami lasu. Feral zamarła. Czyżby zamierzał zastrzelić chłopaka? Ot, tak, na jej oczach?

Nie. To szaleństwo. Stojący za mistrzem laboranci się cofnęli.

Trajan wycelował w chłopca.

Ocal go! - krzyknęła Amber.

W tym samym momencie burza dotarła do szkoły. Uziemił ją elektryczny płot, a kłębiące się chmury nabrały koloru krwi. Gdzieś między nimi rozbłysła błyskawica, nadając wszystkiemu barwę ognia.

Czas zwolnił.

Feral zobaczyła, jak palec Trajana tężeje na spuście. Stojący przed nim chłopak zamarł z przerażenia. Wyciągnęła rękę... i przejęła pistolet. Twarz mistrza spurpurowiała. Widziała, jak kipi w nim wściekłość, jak pulsuje tętnica na jego szyi. Zapatrzyła się w to miejsce i naszała ją straszna ochota, żeby oblizać wargi. Zmusiła się, by spojrzeć w inną stronę.

- Pistolet - wycedził. - To rozkaz.

Sprzeciwienie się mistrzowi było największym grzechem w Nowej Atlantydzie. Karano je odrodzeniem, a tego bała się najbardziej. Ale nie mogła się ruszyć, była jak skamieniała. Usta Trajana wykrzywiły się w uśmiechu.

- Trudno się dziwić, że Generał się o ciebie niepokoi. Słyszeliśmy o wczorajszym. Może będzie trzeba poddać cię jeszcze kilku zabiegom.

Nie powinien tego mówić. Nie powinien grozić jej kolejnymi zabiegami. Nie powinien mówić, że spóźnia się na lunch, i to tak nonszalancko. Nie powinien jej nienawidzić. Coś w niej pękło.

- Nie.

Mistrz rzucił się, by wyrwać jej broń, ale szarpnęła się do tyłu. Doszło do krótkiej walki. Padł strzał. Jego odgłos odbił się echem po okolicy. A potem zapadła cisza. Mistrz Trajan osunął się na ziemię i leżał, patrząc w niebo.

Feral wpadła w panikę. Rzuciła broń.

Co ja narobiłam?

Przez szesnaście lat szkolili ją na zabójcę i oto mieli efekty. Laboranci spojrzeli na nią przerażeni, po czym uciekli.

- Nie chciałam - szepnęła.

Niedługo rozbrzmiał alarm, zaczęli zbierać się ludzie. Ktoś dotknął jej ramienia. Odwróciła się szybko, unosząc ręce w obronnym geście, ale to był tylko ten chłopak, Crow. Wyglądał teraz na jeszcze młodszego, jakby był zszokowanym dzieckiem, ale Feral wiedziała, że tylko kombinował, jak przetrwać.

- Uciekaj - powiedział.

Poczuła, że złapał ją za rękę. To było nie do pomyślenia: obcy prowadził kadeta.

- Nigdy nie uciekam - wykrztusiła. Dusiło ją w piersiach, zupełnie jakby ktoś nałożył na nie metalową obręcz.

Crow spojrzął jej w oczy.

- Teraz tak.

Pobiegli.

Amber wszystko się pokręciło. Crow nie był jej przeznaczeniem. Był jej nemezis.

Sinclar

Kiedy zaszło słońce, surfer naciągnął kaptur i wrócił do Fun Clubu.

Zanim pojawili się surferzy, Sinclair, leżące samotnie na północnym wybrzeżu Szkocji, było spokojnym miasteczkiem. Ponieważ tylko woda oddzielała miasto od lodów Arktyki, pogoda była prawie zawsze pochmurna lub mglista. Ale gdy się roz pogodziło, a niebo patrolowane przez wścibskie mewy przybierało lodowatoniebieski kolor, miało się wrażenie, że widać nieskończoność, a czyste powietrze zdawało się przesycone tlenem bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Ale to dla morza, które atakuje brzeg, przybyli tu surferzy. Dwa razy dziennie potężne pływy morskie, zwane przez mieszkańców po prostu falą, wbijały się między małą wysepkę a brzeg, tworząc pienne grzywy i wzniesając kilkumetrowe butelkowitzelone fale, które uderzały o brzeg nieopodal miasta.

Surferzy mówili, że jeśli ktoś chce przeżyć coś niesamowitego, to musi zapomnieć o Hawajach czy Bondi i przyjechać do Sinclair, tam rzucić się w morze, zmarznąć wśród niebotycznych fal. A jeśli jest dość szalony, to popłynąć z falą - powiosłować wraz z pływem, dać mu się porwać, walczyć z wirami i wstecznymi prądami. Jak na razie tylko jeden surfer się na to odważył - Deimos. Ten, który teraz zmierzał do jedyne go nocnego klubu w mieście. Był najlepszy i wszyscy go podziwiali.

Kiedy wszedł do Fan Clubu, powitały go poklepywania po plecach i kuksańce. Do klubu zawsze przychodziło pełno surferów, dziewczyn i chłopaków, z potarganymi włosami pachnącymi słoną wodą i skórą błyszczącą po walce z falami.

W środku było zupełnie jak w starym wodewilowym teatrze. Ściany pomalowano na ciemnoczerwono, a na nich wisiały duże złożone lustra, zasnute mgłą starości. Deimos ominął parkiet i skierował się na tył klubu. W odseparowanej alkwie stał otoczony kanapami okrągły stół. To tu spotykały się Cienie, kładły łokcie na stole i ignorowały wszystko wokół.

Tego wieczoru Deimos przeskoczył nad liną i wyciągnął się na jednej z kanap. Przy stole było kilka osób, których nie znał. Bonnie wspominała coś o tym, że pojawiają się nowi rekruci.

Bonnie Booth go interesowała, choć udawała trudną do zdobycia.

Była właścicielką klubu, mimo że wydawała się za młoda. Miała proste blond włosy i piękną twarz, a skórę jak porcelana. W odróżnieniu od I innych surferek nosiła ciuchy Armaniego, ale tak, jakby zupełnie o to nie dbała. Rzuciła marynarkę na oparcie krzesła i nie zwracała uwagi, gdy zsunęła się na podłogę. Jedyne, co zdawało się ją interesować, to mały monitor wyświetlający obraz z kamery przemysłowej wycelowanej w lasek za Fan Clubem. Kiedyś był częścią pradawnej puszczy. Okoliczni

mieszkańcy twierdzili, że był nawiedzony, że słyhać stamtąd krzyki dzieci i wiecznie zasnuwały go mgły.

- Coś się dzieje? - zapytał ją.

Postukała w stół błyszczącym paznokciem.

- Nie.

Nie spodziewał się innej odpowiedzi. Cienie zawsze, gdy przychodziły do klubu, pytały Bonnie o to samo. I tylko kilka razy w odpowiedzi słyzały" tak", a wtedy podrywały się na równe nogi i ruszały do lasu. Ale Bonnie nie zamierzała się poddać.

Jak zawsze cierpliwie czekała.

Ucieczka

Rozpętała się burza. Wraz z hukem grzmotu lunęło. Deszcz lał się strumieniami, gdy Feral ciągnęła Crowa do wąskiej alejki przy krypcie. Zamrugła, by osuszyć oczy, i rozejrzała się wokół. Droga była wolna.

- Tędy. Idź za mną.

Aleja prowadziła przez środek Miasta, ale ukryta, przecinała podwórka i parkingi za sklepami i kafejkami. Crow szedł wolno, więc musiała go ciągnąć, rozpryskując kałuże i potykając się, kiedy on łkał cicho.

Zazwyczaj po alei kręciło się mnóstwo kadetów, którzy skracali sobie drogę na lekcje i treningi, ale tego dnia wszyscy byli na boiskach.

Ledwie wczoraj szła tędy z Prosperem i ustalali, że spotkają się potem w lesie. Ale to było wczoraj, gdy miała jeszcze przed sobą przyszłość. Teraz nie miała nic.

Zabiła mistrza!

Postanowiła dotrzeć do Świątyni. Wszystko zaczęło się od przepowiedni Amber, więc to ona coś z tym zrobi.

Kiedy dotarli, do centrum Miasta, Feral zatrzymała się, po czym szybko przeszła przez łuk, ciągnąc za sobą, chłopaka. Burza wciąż nad nimi szalała, zalewając ich jakby chciała ich utopić. Przed nimi było skrzyżowanie La Vallette i St Paul's w dzielnicy kawiarnianej. Powinno się tu roić od mistrzów i prefektów, siedzących w kawiarnianych ogródkach. Ale teraz nie było tu żywej duszy. Krzesła oparto o stoły, parasole złożono, a drzwi lokali pozamykano przed deszczem. Ale burza nie zatrzymała ruchu drogowego - samochody wciąż przedzierały się przez kałuże, tryskając wodą spod kół.

- Nie zatrzymuj się - powiedział Crow. - Musimy być w ciągłym ruchu!

Zignorowała go. Wepchnęła w bramę, w której znajdowało się tylne wejście jakiejś kafejki, na razie zamkniętej przed wieczornymi obchodami. Deszcz lał się z biegnącej nad nimi pękniętej rynny i tworzył kurtynę wodną, za którą mogli się schować. Chłopak stanął tam, z trudem łapiąc powietrze. Gwałtowne ochłodzenie sprawiło, że z jego ust wydobywała się para.

- Co się dzieje? - zapytał.

- Musimy teraz uważać.

Nie mógł oderwać od niej wzroku.

- Zabiłaś go, żeby mnie ratować. Masz przechlapane. Po co to zrobiłaś?

- Nie wiem.

Złapał ją za rękę.

- W każdym razie dzięki. Ale teraz lepiej mnie zostaw. Jakoś ucieknę, a ty możesz im powiedzieć, że cię obezwładniłem.

Prawie wybuchnęła śmiechem.

- Obcy miałby pokonać kadeta? Myślisz, że by w to uwierzyli?

Popatrzył na nią chwilę.

- Zawsze warto spróbować.

Pokręciła głową.

- Idziesz do Świątyni. - Wskazała mu matowobrazową kopułę wystającą nad czubkami drzew.

- Możesz się tam na razie schować.

- Nie, droga jest wolna. Uciekajmy.

Pchnęła go na ścianę, aż się zwinął.

- Posłuchaj. Dziś są obchody Równonocy.

Spojrzała nań, nie rozumiejąc.

- To znaczy?

- To czas, kiedy dzień i noc są równe. Ty nic nie wiesz? Świętowano ten dzień w dawnych czasach, więc robimy to i teraz. Wieczorem mistrzowie i mieszkańcy Miasta będą pić, a kadeci i prefekci mają ucztę w jadalniach. Wtedy uciekniesz. A teraz schowaj się w Świątyni.

Otarł twarz drżącą ręką.

- Dobra. Ale ty też powinnaś uciec. I to daleko.

Tym razem ona się na niego zagapiła.

- Nie, to mój dom.

- Już nie.

Poczuła, jak zalewa ją przerażenie, a wraz z nim jak trzeszczą jej kości, jakby miały zmienić kształt. Nie mogła do tego dopuścić. Popatrzyła przez deszcz na drugą stronę drogi, gdzie wznosiła się kamienna wieża koloru miodu. Był to generator harmoniczny, który zasilął Harfy, a na najwyższym piętrze znajdowało się biuro Generała.

- Nie. Nie mogę odejść. Pójdę do Generała Belisarius i zdam się na jej łaskę.

Na pewno Generał kochała ją na tyle, aby zrozumieć, że to był wypadek spowodowany programem "Chimera". Poprawki, jakie wprowadzili w jej genach, źle zadziałały i tyle.

Serce zaczęło jej łomotać. A jeśli Generał nakaże jej odrodzenie?

Popchnęła Crowsa głębiej, bo zobaczył, że biegnie ktoś chowający głowę pod płaszczem, po czym wyjrzała, wyczekując odpowiedniej chwili.

- Jak powiem, że biegniemy, to masz natychmiast biec do Świątyni.

Crow przyłgnął do matowego okna kafejki i obserwował ją. Miała gładkie włosy, poważną minę i idealny profil. Jej skóra była jak miód - czasem ciemna, czasem jasna. Mogła pochodzić z każdej rasy. Jej oczy były niepodobne do niczego, co w życiu widział - skośne, o złotych tęczówkach, prawie przezroczyste jak bursztyn.

Do tej pory mówił, że już nic go nie przestraszy. Nie po wypadku. Odruchowo dotknął blizn na policzku, a potem tatuażu "na zawsze 18". Ale ona go przerażała. Nie tylko te oczy i wspomnienie, jak strzela do mistrza - na to nie narzekał, bo facet był szurnięty. Przede wszystkim fakt, że była dziewczyną, młodszą od niego, a mimo to zdawała się tak niebezpieczna.

Ale czy nastoletnie kilerki obgryzają paznokcie? Bo ona właśnie je obgryzała, wpatrując się w Miasto.

Jedno wiedział na pewno - nie zamierzał tu zostawać i tego sprawdzać.

Wziął kilka głębokich oddechów. Poczeka chwilę, żeby o nim zapomniała, skupiła ten niesamowity wzrok na okropnej wieży przed nimi, która wyglądała zupełnie jak coś, co powinno się nachylać pod dziwnym kątem w starym włoskim mieście. A potem wycofa się i znajdzie wyjście z tego cholernego miejsca.

Jakby czytała w jego myślach, sięgnęła za siebie i oparła mu rękę na piersi, przyszpilając go znów do ściany. Wciąż patrzyła na wieżę. Ręka na jego piersi była chuda, ale czuł w niej siłę zdecydowanie za dużą jak na taką dziewczynę. Sięgnął do kieszeni.

- Wybacz - powiedział trzęsącym się głosem.

Kiedy znów się do niego odwróciła, celował w nią z pistoletu Trajana. Upuściła go zaraz po strzelaninie, jakby nagle straciła czucie w rękach. Nie zauważyła, kiedy go zabrał. Nikt nigdy nie zauważał. Mógłby zwinąć komórkę ze stolika w restauracji albo torebkę z oparcia krzesła i ani jedna osoba by nie zobaczyła.

- Nie zrozum mnie źle. Jestem naprawdę wdzięczny za to, co zrobiłaś - powiedział, a pistolet zatrząśł mu się w dłoni. Nigdy wcześniej nie miał żadnej broni. Nawet noża. Zawsze się bał, że może mu odbić i dzióbnie się tym nożem w oko albo przez pomyłkę podetnie żyły. - Po prostu nikomu w tej chwili nie ufam. Powiedz mi tylko, jak się najszybciej stąd wydostać.

Uniosła ręce i wskazała palcem drogę w kierunku La Vallette. Tylko na moment odwrócił od niej wzrok, by ustalić, w którą stronę wskazuje, gdy nagle jej dłoń opadła na pistolet, opuściła lufę, a jej twarz znalazła się tuż przy jego.

- Na twoim miejscu bym go puściła - wyszeptła. - Jak wyrwę ci pistolet, mogę przy okazji złamać ci nadgarstek.

- Aj! - Puścił go i zaszokowany postąpił krok do tyłu. - Kim ty jesteś? Androidem czy co?

Prawie się uśmiechnęła, zupełnie jakby była zwykłą dziewczyną, kimś, obok kogo mógł siedzieć w ławce albo z kim przekomarzałby się w drodze do domu. To wrażenie jednak szybko zniknęło, a ona odwróciła wzrok i wrzuciła pistolet do barowej skrzynki na listy.

- Nie chcesz wiedzieć.

No dobra, czyli groźby nie skutkują. Będzie musiał użyć uroku osobistego, jeśli w ogóle jakiś miał. Wyciągnął przed siebie ręce i uśmiechnął się krzywo.

- Posłuchaj, ty nie chcesz stąd odchodzić, więc się rozdzielmy. Pójdiesz w swoją stronę, a ja w swoją.

Zamrugła, bo deszcz ściekał jej do z oczu.

- To jest twój plan? Uciekać?

Wzruszył ramionami.

- To podstawowa zasada Quinnów. Uciekaj, a może dożyjesz następnego dnia.

Jego rodzina miała wprawę w ucieczkach. W ciągu ostatnich kilku lat, kiedy wszystko zaczęło się sypać, zdarzało im się uciekać nocą, nim zjawili się właściciele mieszkań, które wynajmowali.

Zmarszczyła brwi:

- Nie masz pojęcia, gdzie jesteś, prawda? - zagadnęła.

- W środku miasta. - Rzucił jej spojrzenie spode

łba. - Wyjście stąd nie zajmie mi wiele czasu. Wszędzie znajdę drogę. Potrzebuję tylko środka transportu. - Nieświadomie sięgnął do policzka poznaczonego bliznami. - A ten mogę załatwić w każdej chwili.

- Ukradniesz samochód? - zapytała.

- Pożyczę.

Przed kafejkami stały zaparkowane priusy, mercedesy i beemki. To było bogate miasto. Ale im dłużej się przyglądał, tym więcej dostrzegał nieprawidłowości. Samochody miały kierownice po prawej stronie, ale oznaczenia dróg były nie takie, jak trzeba. Kafejki i wieża były w jakimś zagranicznym stylu. Nawet światło wydawało się jaśniejsze niż zwykle.

- Gdzie my jesteśmy? To nie Wielka Brytania, tylko jakieś miejsce, gdzie przeszłość wymieszała się z teraźniejszością.

Część uwagi poświęcała jemu, a część skupiała na skwerze.

- Nasze położenie to tajemnica, ze względów bezpieczeństwa.

- Dobrze. Pojadę do najbliższego miasta i tam zapytam o drogę.

Roześmiała się, a jej poważna, nadąsana twarz na chwilę się rozjaśniła, tylko oczy wciąż były czujne.

- Nie pojedziesz, bo nie jesteś już w swoim świecie. Miasto jest ukryte, przeniesione przez Harfy gdzie indziej.

Pokręcił głową.

- Niemożliwe. To szaleństwo.

- Nigdy nie słyszałeś o Mu, Lemurii czy Avalonie? Wszystkie istniały, światy poza naszym, dostępne tylko dla wybranych. A teraz jeden z nich został przywrócony do życia. - Machnęła ręką. - To jest Nowa Atlantyda. Stąd nie da się po prostu wyjechać.

Nagle rytmiczne stukanie podków przebiło się przez bębnienie deszczu. Do skweru zbliżało się coś dużego i ciężkiego.

Poczuł, jak jej ręka owija się wokół jego szyi i go unieruchamia. A jej ciepły oddech owiał mu policzek.

- Bez względu na wszystko nie ruszaj się i bądź cicho. Jadą prefekci.